

Bycie wspólnotą

Dzielię się wrażeniami po Marszu Niepodległości, chcąc utrwalić w pamięci wydarzenia, które prowadzą nas, jestem o tym przekonany, do tego, by stać się wspólnotą narodową. Pod tym względem było to wydarzenie wielkie i niepowtarzalne. Patrząc na nie także z perspektywy pierwszej po wojnie manifestacji patriotycznej, jaką oglądałem blisko 40 lat temu na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie. Marsz 11 listopada 1979 roku nazywam „zimowym”, gdyż padał wtedy gęsty śnieg, zaciął silny wiatr, a liczni zebrani na chodnikach ludzie patrzyli zdumieni na w sumie skromny liczebnie pochód. Faktycznie była to już druga manifestacja, po tej z 1978 roku, w 60. rocznicę odzyskania niepodległości. Andrzej Czuma przypomniał, że organizatorami manifestacji są ROBCiO i KSS KOR, a wówczas ktoś zwrócił mu uwagę, że także KPN, a inny uzupełnił, że prawie całe biuro polityczne KPN zatrzymano w areszcie śledczym. I rzeczywiście tak było.

W tym samym czasie odbywała się równie imponująca manifestacja patriotyczna w Krakowie zakończona brutalną pacyfikacją przez milicję. Dziś po latach, organizatorzy tej i innych manifestacji opowiadają, jak przebiegały i jakimi prześladowaniami się kończyły. Ukazują się na ten temat wciąż jeszcze nieliczne książki, jak choćby „Prześladowani, wyszydzani, zapomniani... Niepokonani”, o działalności ROBCiO i KPN. Zatrzymania i aresztowania dotyczyły wszystkich uczestników manifestacji, jak to się dziś mówi, opozycji demokratycznej, ale nie w równym stopniu, bo komunistyczna władza najbardziej tępiła działaczy KPN.

Marsz w stulecie odzyskania niepodległości przechodzi do historii. Liczbę 250 tysięcy uczestników uważam za zaniżoną, skoro o marszu w obronie TV Trwam mówiono, że zgromadził 200 tysięcy ludzi. Oczywiście więcej było nas na papieskiej Mszy Świętej 2

czerwca 1979 roku, ponad milion osób. Podobno tyle samo było na wiecu wokół Pałacu Kultury i Nauki w październiku 1956 roku, na którym przemawiał towarzysz Władysław Gomułka. Jakże wielkie nadzieje towarzyszyły wtedy Polakom. Ale trzeba było czekać jeszcze ponad 60 lat, aby stworzyć Marsz Niepodległości, marsz Wolnych Polaków, i aby to prezydent RP zapraszał wszystkich do wspólnych obchodów.

Wraz z Mazurkiem Dąbrowskiego odpalono „zakazane” race. Stałem wśród wielu tzw. narodowców, czyli zwykłych chłopaków, grzecznie jednak reagujących na wytykane im przez panie wulgaryzmy. Pięknie było, gdy wiejący od Wisły wiatr całkowicie przysłonił Pałac Kultury i Nauki. Stały bastion warszawskiej lewicy, specjalnie tego dnia podświetlony na tęczowo, przestał istnieć. Szkoda, że na tak krótko. To, co dostrzegam w uczciwych relacjach z marszu, to nadzwyczajne nagromadzenie tzw. zwykłych ludzi. Wielu specjalnie tego dnia przyjechało do Warszawy - korporacje akademickie z Krakowa, chłopcy w deklach i szarfach, a nawet grupa Szkotów, zaproszona przez ich kolegę z Polski. Dostali kokardy narodowe i znaczki, które chętnie przypięli sobie do kurtek. Obok mnie samotna starsza pani. Gdzie podziały się jej dzieci, wnuki, mąż? Szła z trudem, nic nie mówiła, trzymając w ręce flagę. O czym myślała? Dlaczego chciała tu być, już nie samotna, w tym gęstym tłumie, poruszającym się początkowo jedynie 100 metrów na godzinę? Nie miałem odwagi zapytać.

Różni ludzie, w różnym wieku, różnie ubrani, liczne dzieci zasypiające w wózkach. Różność w jedności, nigdy różność w jednostajności. A różnić się mamy pięknie i mocno, jak pisał Norwid. Miałem wrażenie, jakby wszyscy koniecznie chcieli tu być, aby osobiście doświadczyć bycia historią i zapisania się w niej, dotknięcia jej w tym szczególnym dniu. Historyzm to nasza, polska narodowa cecha. Historyzm wierny

faktom, datom, wydarzeniom, nazwiskom, żadna tam narracja czy jakaś dowolna opowieść.

Potrzeba bycia wśród wspólnotowego tłumu w tym samym dniu i w tym samym czasie, wśród sobie podobnych. To chyba już wspólnota?

Mylą się „wielcy tego świata”, że ludzie niczego nie rozumieją i niczego nie wiedzą.

Zawsze są tacy, którzy nadrabiają zaległości lemingów. Przemieszczający się tłum, w którym stykają się co rusz to inni „zwykli ludzie”, był skory i do rozmów, i do żartów.

„Idziemy faszyści” - rzucił młody człowiek, na co inny - „faszyści i współcześni bolszewicy”. Większość w śmiech, ktoś inny się obruszył, „nie czując bluesa”. Słowa wypowiedziane publicznie przez Donalda Tuska o bolszewikach będą tak samo zapamiętane w historii jak słowa Józefa Cyrankiewicza o ręce podniesionej na władzę, którą trzeba uciąć. Wyłączył się ze wspólnoty, jak tamci, autentyczni bolszewicy.

Wyjątkową chwilę, „raz na 100 lat” utrwaliły zdjęcia robione telefonami. Będzie można je pokazać znajomym, rodzinie, pozostaną w domowych archiwach na „wieczne czasy”. Raptem słychać jak młody człowiek krzyczy w telefon do kogoś znajomego: - Tu jestem, na Marszu, znajdziesz mnie obok mężczyzny z białoczerwoną flagą”. Tłum reaguje śmiechem.

www.wojciechreszczyński.pl

141 wSieci 19.11.2018